№ 12.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 18 marca 1848. Rok dziewiąty.

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincyi chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyzszych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytośc prenumeraty pod adresem redakcyi Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcya ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosyi prenumerata składa się na pocztach.

MODY.

Z Paryża, dnia 7 marca 1848.

Gdy już karnawał się skończył, opiszemy naszym czytelniczkom kilka sukień od wyjścia. Szlafroczek aksamitny czarny, spodnica otwarta przez całą długość, obszyta atłasem żółtym nakształt wyłogów i wąskim pasem gronostajowym, stanik gładki, wysoko zachodzący i otwarty z przodu do paska z wyłogami obszytemi gronostajami, rękawy szerokie, półdługie, obszyte atłasem i gronostajami koło ręki i podpięte trzema fontaziami z wstążki żółtej atłasowej, bardzo szerokiej. Pod spodem spodnica biała perkalowa, z sześcioma falbanami haftowanemi z muszlinu, podkładka i rękawki muszlinowe haftowane; czepeczek koronkowy, podpięty z każdej strony kokardą z wstążki żółtej atłasowej. Suknia zielona atłasowa, z dwoma szerokiemi falbanami z koronki czarnej, stanik gładki, wysoko zachodzący, rękawy obcisłe, zaokrąglone koło ręki i otwarte po łokieć tak, że widzieć można rękawki muszlinowe, obszyte szeroką koronką; narzutka aksamitna fioletowa, z długiemi połami zaokrąglonemi, w stanie bez szwu i sięga niżej bioder, obszyta naokoło taśmą jedwabną tego samego koloru i spięte z przodu do pasa na pięć dużych guzików jedwabnych i pętlicami jedwabnemi; rękawy długie, u góry obcisłe a u dołu bardzo szerokie, podpięte guzikiem i pętlicą; ubranie koronkowe i z wstążki pąsowej atłasowej.

Rycina przedstawia: Szlafroczek morowy, stanik gładki, do góry spięty; rękawy długie, obcisłe, z naramiennikami; kapelusz niebieski. Suknia jedwabna w kraty, z dwoma falbanami ukośnemi, w ząbki wycinanemi, stanik gładki, wycięty, kończasty; rękawy długie, ukośne; mankietki muszlinowe, marszczone; peleryna czarna tiulowa, z tyłu zaokrąglona i zachodząca do pasa, z przodu otwarta, z ramion spadająca, z dwoma okrągłemi końcami na krzyż zachodzącemi, obszyta naokoło szeroką koronką i na ramionach we dwa rzędy koronek, które spięte pod pachą są nakształt mankietek; czepeczek koronkowy, ubrany różyczkami.

SZPICRUT HONOROWY.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

I pobiegła Marijka ku krzyżowi, który z daleka zdawał się wyciągać ramiona ku niej; i chciała uklęknąć i zapłakać jak dawniej owemi łzami, które jej tak lekko płynęły dawniej, a z któremi tak lekko spadał wszelki ciężar z piersi; i chciała w gorącej modlitwie do tego boga, którego jej codzień tak żywo stary dziadek jej słowem i życiem całem przedstawia, szukać odrodzenia i wyrzec się czarnych myśli, które upiorem wysysają z niej wszelką siłę żywotną — wyrzec się zemsty!....

Lecz nim doszła do krzyża, szmer jakiś ozwał się tuż przed nią, ona mimowolnie rzuciła wzrok w dół i postrzegła czychające na nią oczy bure Maćka z wyrazem mieszczącym w sobie wszystkie te okropne mary, dręczące biedną Marijkę. Zaślepiona tym urokiem stanęła, i jakby sobie odwagi dodać chciała do tej dalszej drogi, rzuciła wzrok ku ulicy topolowej, z ponad której czerwieniał się dach pałacu.

Maciek chciał powstać, lecz Marijka czy w rzeczy samej bała się by ją z nim widziano, czy może byłto skutek myśli, które miała w tej chwili, myśli tak różnych od złowrogiej twarzy żebraka, dosyć, że znakiem ręki wstrzymała go.

— „Nie wstawaj!“ rzekła głosem urwanym.

— „Albož znowu kogo diabli niosą?“

— „Nie.... ale ja się boję....“

— „Panienka się boi?.... wa!.... czegoż tu się bać?.... Czy ja to już takich dożył rzeczy w życiu mojem. Ja panienki nie rozumiem, inaczej mi to rozpowiadał ksiądz Anastazy, który poznawszy mnie, sam mi mówił, że panience trzebaby człowieka, któryby jej posłużył do dopięcia zemsty.... na tych tam.... Mnie w to graj.... i panienka sama mi tosamo powtórzyła. Ja robię co mogę, aż tu nagle przed kilką tygodniami każe mi się panienka chować i tylko tak niby przypadkiem możemy się widzieć na drodze. Jak gdybym ja był jaki złodziej, jaki łotr!... a ja zwyczajnie nieszczęśliwy, wędrowny rzemieślnik!“

— Darujcie mi poczciwy człowiecze! ale mój ojciec zaczął robić uwagi nad waszym pobytem długim w naszej stronie... i bał się by jeszcze więcej wasza... zawziętość nie zwiększyła mojej....“

— „Zawziętość! zawziętość!“ i roześmiał się głośno a tak szydersko, aż zadrżała biedna Marijka. „Ja muszę być zawzięty, bo oni są szczęśliwi a ja nieszczęśliwy.... bo....“

Lecz nagle wstrzymał się, dostrzegłszy w oczach Marijki wyraz zdziwienia i odrazy.

— „Bo“ ciągnął dalej „jakże niemam być zawzięty na tych, ktorzy kochanej panience taką krzywdę uczynić chcieli i których mi ksiądz Anastazy, w którego ja wierzę jak w boga, przedstawił jako ludzi złych i kary godnych.“

— „Częścią więc dla was samych, częścią dla dopięcia tego.... co zamierzyłeś....“

— „Cośmy z panienką oboje zamierzyli!“ przerwal żebrak uśmiechając się słodziutko.

— „Musiałam was prosić....“

— „To już dobrze moja panienko.... ale dla czegoż ja mam się znowu chować jak zwierzę w zbożu, i nie mogę otwarcie pomówić z panienką na publicznej drodze?“

— „Na coż mają nas widzieć?....“

— „Kiedy ja się nie boję, mniejsza o to“ wyrzekł zuchwałym głosem i podniósł się z miejsca swego.

— „A potem już teraz wszystko jedno“ dodał i obejrzał się z uwagą wkoło siebie, i snać był zadowolony z tego co ujrzał lub czego nie dostrzegł, bo się uśmiechnął pokryjomu.

I Marijka oglądnęła się wkoło siebie, by się przekonać czy nikt ją nie widzi w tej rozmowie z człowiekiem, do którego coraz więcej czuje odrazy. I nie dostrzegła nikogo; bo jej nie przyszło w tej chwili na myśl, że są oczy nigdy nieosłonione, które wszędzie i zawsze patrzą, i wszystko widzą, i wszystko wiedzą, i wszystko ocenić umieją. Ona zapomniała w tej chwili o tych oczach opatrzności, w które przecie od dziecka tak święcie wierzyła. Nic nie dostrzegła, nawet tych czterech ócz, które nagle zaiskrzyły się w głębi zboża zielonego i patrzały z uwagą na mówiących, których słyszyć nie mogli. Marijka pewną była, że nikogo niema.

— „Jam tu przez kilka dni przychodziła, alem was nie widziała“ przerwała Marijka chwilowe milczenie, nie chcąc wprost go wypytywać.

— „Albożto panienka myśli, że to tak łatwo z tymi chłopami ruskiemi“ odpowiedział szeptając prawie Maciek. „Pełno między nimi jakiś głupich przesądów, jakiegoś tchurzostwa czy głupiej poczciwości.“

— „Więc nie chcieli?....“

— „Ta! jakiem zaczął im tłumaczyć.... jakoś udało mi się baby najwięcej rozkomosić, taj się popłakały jedna nad synem, druga nad córką, i....“

— „Przystali?....“

— „Trzeba było niemało wódki, toteż na samą waszę kartoflówkę wydałem wszystkie pieniądze co mi panienka dała....“

— „I jakże?....“

— „O tak!“ Tu Maciek uśmiechąwszy się figlarnie dmuchnął ustami i ręce w górę podniósł....“

— „Kiedy?“

— „Przededniem!....“

— „Dziś jeszcze?“ zapytała znowu Marijka z rodzajem niekłamanego przestrachu.

— „Po północy najciemniej....“

— „Możeby jeszcze....“

— „Odłożyć?.... ha! ha! ha!.... już za poźno moja panienko....“

— „Burza się zbliża.“

— „Tem ciemniejsza będzie noc....„

— „Ja muszę uciekać do domu przed burzą; ale pierwej będziemy się widzieć jeszcze.“

— „Jutro może moja panienko!.... co się stało już się odstać nie może.“

Pierwszy ozwał się w tej chwili grzmot i ostatni padł promień zachodzącego słońca. Marijka przerażona nietyle burzą żywiołów, ile burzą wrzącą w jej łonie, odwróciła się nagle i ledwie wiedząc co czyni kilka zrobiła kroków ku wsi.

— „Czekajno panienka jeszcze!“ zawołał za nią i stanął tuż koło niej „ale mnie trzeba pieniędzy....“

— „Pieniędzy? wszak ja tyle już dałam....

— „Ba!.... ale dziś trzeba mi koniecznie.... bo to z tymi tchórzami trzeba niemało będzie nagwarzyć się i nałykać, aby w ostatniej chwili nie skręcili....“

— „Słuchajcie no! możeby lepiej było....“

— „A potem ja potrzebuję sam pieniędzy dla siebie; ja już dziewiąty miesiąc siedzę tu dla panienki.... ja sam jestem biedak i poświęcam się dla cudzej sprawy....“

— „Macie tu.... co mam przy sobie“ odpowiedziała Marijka szybko, by się go raz pozbyć, i wsunęła

mu w rękę mały woreczek z drobnemi pieniądzmi. Biedaczka nie miała więcej ani przy sobie, ani w domu, bo co tylko zkąd zebrać mogła, wszystko pomału wytumanił od niej Maciek.

— „No! no! to tymczasem będzie.... choć diable mało“ mruczał Maciek, rachując i przerachowując pieniądze na dłoni.

— „Ale jutro, jak się wszystko skończy.... jutro....“ dodał z przyciskiem groźnym, lecz nagle urwał i mruknął sam do siebie: „Jutro inaczej ja cię obskubię, moja ty cnotliwa panienko!....“

Marijka już tego dosłyszyć nie mogła, bo szybkim zaczęła uciekać krokiem przed burzą, której wycie i połyski coraz były bliższe.

— „Dobrze! dobrze panienko! stanie się pewnie jak panienka kazałaś,“ zawołał Maciek za nią jakby naumyślnie na całe gardło.

Ledwie znikła Marijka, cztery oczy patrzące dotąd na nią, podniosły się z zielonego zboża i przeskakując przez bruzdy, stanęli wnet koło Maćka: wójt i młynarz krzewienieccy, których przez chwilę zajrzeliśmy w dworku księdza.

— „Słyszeliście?“ przemówił do nich Maciek.

— „Prawda skazawszy“ mruknął jeden.

— „Czuł ty szczo Iwane?“ mruknął drugi.

— „Aleście przynajmniej widzieli, że sama córka czy wnuka waszego dobrodzieja była tu, sama was bardzo chwaliła i żałowała, i ot dala tu na parę kwart śmierdziuchy, żebyśmy się napili. Chodźmy więc do karczmy, już zaczyna kapać jak grochem.“

— „Chodźcie kumie!“ rzekli do siebie chłopi i poszli za Maćkiem, który jakby się w Krzewińcach urodził, zaułkami i rozmaitemi ścieszkami szedł przed nimi.

Marijka tymczasem pędziła ku domowi; wszystko w niej wrzało, tak dalece, że w tej chwili nie mogła sobie zdać sprawy ni z uczuć ni z chęci swoich; czy zemsta, czy litość, żal czy wstyd przeważał w niej, sama nie wiedziała, czuła tylko że dotychczasowe urojenia nikną z przed oczów i zaćmiona prawda ukazuje się w świetle okropnem. Ostatnie pogrożenie niedokończone Maćka brzmi jej ciągle w uszach. Wszystkie więc jej chęci szlachetne z początku, całe jej współczucie dla cierpiących, nienawiść dla uciskających, póty ukrywały się przed jej myślą w jakichsić barwnych zasłonach wyobraźni, póki ta zemsta przez nią kunsztownie wypielęgnowana, wyrabiała się sama na polu tych marzeń i złudzeń wyobraźni. Ale gdy już namacalnie prawie stanęła przed celem tej zemsty, zadrzała; co w niej było szlachetnego zbudziło się gwałtownie na widok odrażającego człowieka, który miał być sprężyną tej zemsty. Jego słowa złowrogie, jego postawa zuchwała, groźny wyraz twarzy i przycisk słów sprawiały jej odrazę i przestrach. To obrzydliwe wspólnictwo oburzało ją.

Takato zwykle bywa droga namiętności ludzkich, które dopotąd zaślepiają, dopokąd się nagle nie stanie nad przepaścią, od której się już cofnąć niepodobna!

Stanąwszy u celu prawie, widziała Marijka całą brzydotę swego zamysłu, kończącego się na tak pospolitym i haniebnym celu. Byłyto dla jej umysłu szlachetnego okropne męczarnie. Ileżby więcej się przestraszyła, gdyby mogła tego wspólnika swego przejrzeć aż do głębi, gdyby mogła zbadać jego najtajemniejsze myśli.

Burza wzmagała się tymczasem coraz więcej; ostatki światła dziennego pochłonęły chmury czarne jak noc; wiatr groźnie szumiał po drzewach sadów wiejskich, porywając z sobą pył kilkodniową posuchą nagromadzony; wszystko co żyło uciekało do chat i norów swoich, i nie ozwał się też żaden głos ni człowieka, ni zwierzęcia; tylko grzmoty coraz głośniejsze słychać było; a czasem piorun wężem łyskawicy poprzedzony upadał z hukiem, który zdawał się całą ziemię wyrywać z swych posad. I jeszcze parno było, bo rzadkie jeno ale grube za to krople deszczu, padające ciężko z góry, nie mogły odświeżyć spiekotę dzienną rozgrzanego powietrza. Lecz Marijka nic nie widziała, nic nie słyszała, biegła jeno własnemi myślami gnana ku dworkowi dziadka. Ledwie usłyszała tętent konia tuż koło siebie, a gdy roztargnione rzuciła przed się spojrzenie, ten sam jeździec pierwej zdybany przemknął szybko koło niej. I znowu ścisnęło się jej serce, jakby coś znajomego, coś miłego przesunęło koło niej i znikło. Nowy trzask gromu przedarł się przez ściśnięte powietrze, i przy świetle łyskawicy Marijka poznała jezdca.... krzyknęła, lecz jej głos słaby coż podołał naprzeciw głosowi rozgniewanych żywiołów. Jeździec popędził co koń mógł wyskoczyć. Byłto stary sługa matki Kazimirza, który panicza na własnych rękach wypiastowanego, kochał jak własne dziecię. Przyjazd jego do Krzewiniec nie był bez znaczenia. I znowu wszystkie chwile minione, chwile spokoju, chwile miłości, chwile zaczarowane przeszłości, przebiegły kolejno przed jej wzrokiem i wszystkie zdawały się jej urągać i jej wymawiać....

Lecz zostawmy na chwilę Marijkę i wstąpmy tymczasem do karczmy, gdzie przy odgłosie gromów i świetle łyskawic inna ważna odbywa się narada.

Na drugiej stronie karczmy była komora, w której mieszkała cała rodzina żydowska z wszystkiemi swojemi brudnemi bachurami, brudniejszemi zwyczajami i najbrudniejszemi namiętnościami, ta konieczność nieszczęśliwa naszych wszystkich wiosek. I mimo tylu doświadczeń smutnych, których widownią jest każda niemal wieś polska, a na której ofiarami są dziedzic i chłop, nie możemy się pozbyć tego prawdziwego

trądu biblijnego. Ledwie gdzie kilka chałup stanie koło siebie, aliści zaraz zapobiegły dziedzic stawia obszerniejszą chatę na szynk, i zaraz do niej sprowadza tę spirytusową truciznę i dodaje szafarza do tej trucizny, który prócz tego rozszerza jeszcze inne trucizny moralne, lichwy i prożniactwa, niemi pobudza wszystkie najbrudniejsze namiętności i zaszczepia tę systematycznie przez żyda utrzymywaną nędzę wieśniaka, którego cały dobytek i całe żniwo wpada w tę otwartą a podwójną przepaść pijaństwa i żydowskiego szachrajstwa; a za nędzą krok w krok idzie demoralizacya i zupełne rozbestwienie.

W tej komorze, do której oczywiście żyd nie puszczał jeno uprzywilejowanych, to jest potrzebnych sobie gości, siedzieli przy jednej szabasówce palącej się smutno i ciemno, najprzód sam Froim, gospodarz karczmy, żydek niewielkiego wzrostu, ale krępy, żywy, mający na swej twarzy, zarzuconej kędzierzawemi pejsami i brodą rudawą, zwykły wyraz bezczelności i chytrości razem, zlewających się razem w rodzaj kociej czujności, zawsze do fałszu i szelmostwa gotowej. Siedzieli potem przy długim stole po jednej stronie Maciek, wójt i młynarz, a po drugiej stronie dwie kobiety, żony wójta i młynarza, i jedenastoletni dorostek, brat młodszy znanego nam już Fedka czyli Teodora.

Rozmowa odbywała się wpółgłośno, przy sporej flaszce wódki, którą tym razem przeciw zwyczajowi swemu Froim Chajes z osobnej, wodą niezbełtanej dał baryłki. I sam usiadł na wysokiem, poduchami wypchanem łóżku, z którego wyniosłości spoglądał uważnie na chłopów pijących. Podparłszy głowę na ręku, której łokieć spoczywał na kolanie, zdawał się okiem swojem przebiegłem wybadywać twarze pijących; czasem tylko zaigrał mu nad brodą rozczochraną uśmiech złośliwy i drwiący. On ich dobrze rozumiał, drwił z tej próżnej pogadanki i wiedział, że koniec końców, co bądź wypadnie, on tylko jeden prawdziwie zkorzystać potrafi.

Rozmowy tej przerywanej częstem zaglądaniem do kieliszka, szczegółowo opisywać nie będziemy; wszak już każdy się domyślił, o co tu głównie idzie. Zemsta przez biedną Marijkę podszeptana niewyraźnie i zagadkowo prawie, znalazła tu swoje tłumaczenie ostateczne, słowo rozwiązujące zagadkę.

Po prawdzie powiedziawszy niezupełnie łatwo, jak to sam przyznał, przyszło Maćkowi namówić wójta i młynarza, którzy byli majętniejsi we wsi, a tem samem lepsi. Dodać do tego potrzeba, że w ogóle wszyscy wieśniacy krzewienieccy mniej może byli zepsuci od innych wieśniaków okolicznych, chociaż byli więcej daleko uciskani przez Gniazdowskich, którzy rządzili przez podwładnych, drących chłopa ze skóry podwójnie. To mniejsze zepsucie i mniejszą dążność ku nienawiści do dworu w Krzewińcach trzeba było przypisać głównie tyloletniemu pobytowi tamże, naszego znanego już nam z powieści dziadka Marijki. Byłto kapłan w całem tego słowa znaczeniu, rozumiejący swoje posłannictwo u tego biednego ludu, mogącego tak łatwo przez swoje niewykształcenie służyć za narzędzie ślepe wszelkich podmuchów fałszywych. Wieśniacy krzewienieccy kochali swego księdza jak ojca, i wierzyli mu też jako prawdziwemu tłumaczowi słowa bożego. Toteż jak widzieliśmy, Maciek potrzebował umyślnie sprowadzić i ukryć w zbożu wójta i młynarza na to, aby ich przekonać, że ksiądz nie musi temu być przeciwny, kiedy własna i ukochana jego wnuczka sama namawia i daje nawet pieniądze. To więcej ich przekonało niż krzywdy doznane.

Resztę wahania się odbierała im doskonała i mocna wódka zacnego Froima. Toteż smakowali ją doskonale: mężczyźni pili pełnemi haustami, a kobiety zawodząc na wyścigi to nad synem to nad córką, kosztowali pomału z kieliszka, ale przecie wychylali aż do dna. Nawet mały Wojtek, brat Fedka, pociągając już za mężczyznami, wypił parę sporych kieliszków i ledwie nie był najzawziętszy z całego towarzystwa.

— „A coż mojego wódki!“ zawołał Froim, uważając że już głowy pijących doskonale zapalone.

— “Duże dobra panie arendarzu!“ odpowiedział młynarz.

Kobiety nic nie odpowiedziały, zawodziły tylko coraz głośniej, płacząc za dziećmi. Wojtek podskakiwał i ciągle dopytywał czy już nie czas.

— „Nu a wy panie Macieju, co mówicie jemu na mego jancurew?“

— „Wyborna, doskonała panie Froim!“ odpowiedział Maciej, a postrzegłszy jakieś wyraziste łypnienie ócz żyda, poszedł ku niemu.

Snać się dobrze już poznali Froim z Maćkiem, bo stanęli poufale przy oknie, oddalonem nieco od pijących, i tam zaczęli żywo rozmawiać między sobą. Rozmowa toczyła się widocznie o tym samym przedmiocie, o którym rozmawiali wieśniacy przy stole, bo żyd kilka razy wskazywał ich palcem i szeptał wpółgłosem:

— „Jak woni się popiją to będzie czas!“

— „Ależ podobno oni we dworze spią w dzień, a w nocy siedzą.“

— „To tylko w zimie; w lecie woni idą spać po północy.“

— „A jakżeż będzie?“

— „Woni do gumna....“ i resztę mu pokazał porywając za krzesiwo i hubkę, leżące na oknie „a my huż do....“ i dokończył migiem ręki, jakby w nią co chwytał.

W tej chwili piorun gdzieś niedaleko uderzył i łysnęło tak okropnie i tak jasno razem, że przez okno, o które stali oparci mówiąc, można było jak w dzień zobaczyć cały plac przed karczmą. I w tej chwili mi-

gnęła się przed oknem jakaś postać, jak gdyby kto tylko co od okna odskoczył.

— „Ktoś nas podsłuchuje!“ krzyknął Maciek przerażony.

— „Nu! my pocichemu gadali!“ odpowiedział żyd obojętnie.

— „Muszę jednakże zobaczyć!“ i wybiegł Maciek przed karczmę.

Nikogo tam nie zobaczył, nasz znajomy tylko diak wchodził w tej chwili na drugą stronę karczmy do szynku.

— „A to pan Maciej, który myślałem, że już daleko..“

— „Ot jakoś mi niewypadało ztąd jeszcze odchodzić.... ale co wy tu robicie Jurku, w taką burzę?“

— „Więcej huku niż deszczu... ja przyszedłem kupić sobie na noc gorzałki, bo tam u nas bieda.“

To mówiąc zaglądał Jurko do żydowskiej komory, której drzwi były w pół zamknięte tylko; dostrzegłszy siedzących tam chciał wejść do środka.

— „Cożto za bieda?“ przemówił Maciek zagadując Jurka i zastępując drzwi do komory.

— „Nasz ksiądz kona... podobno tej nocy nie przeżyje!“ odpowiedział diak, podnosząc głos swój o ile mógł jak najwyżej.

— „Nasz dobrodziej kona!“ ozwały się głosy męskie z komory.

— „Biedaż nasza, bieda!“ zawodziły kobiety.

I na pocieszenie wzięli się znowu do kieliszka. Jakoż w tej chwili zupełnego już prawie upicia, tyle tylko okazali współczucia dla biednngo dobrodzieja swego.

— „To tam widzę nasz wójt i pan młynarz, i obie mołodyce!“ mruknął diak i wszedł po wódkę na drugą stronę, zkąd po chwili wybiegł nazad do dworku.

Wróćmy teraz do Marijki. Przybiegła ona do domu w stanie szczególnego rozstrojenia; tajemnica cała ciężyła jej tak mocno, że postanowiła wszystko wyznać dziadkowi i u niego szukać rady i ratunku. Wszedłszy dopiero zrozumiała, że to całe jej postanowienie było płonne, i że nie tak łatwo cofnąć się z krzywej drogi, gdy się już raz na nią wejdzie. Wszedłszy dopiero przypomniała sobie, że biedny dziadek od trzech miesięcy tak jest chory i osłabiony, że lada silniejsze wrażenie mogłoby zdmuchnąć tę ledwie tlejącą w nim iskierkę życia. Starzec biedny już dogorywał prawie; nie byłato choroba wyraźna, na którąby pomogło jakie lekarstwo ludzkie, ale byłoto niknienie powolne sił wiekiem spowodowane. To co głównie go niszczyło, było zarazem tem, co go jeszcze przy życiu utrzymywało; byłato troska o los tej jedynej ukochanej wnuczki. Starzec widział jej cierpienia i widział, że nie może im zaradzić; byłoto dla niego cierpienie nieznośne, okropne.

— „Ojcze mój!“ zawołała Marijka wpadłszy do izby, i przytuliła się do kolan starca, który wpółubrany siedział na owem starem poręczowem krześle.

Jeszcze chudszy, jeszcze bledszy, jeszcze był piękniejszy; nędzna jego cielesna powłoka nikła pod promieniem wyższej myśli i wyższej cnoty, który łyskał jeszcze z ócz, wieńcem zda się niebiańskim otaczał tę łysą głowę, o kilku jeno włosach siwych jak śnieg najczyściejszy.

— „Co tobie jest, córko moja!“ zawołał starzec przerażony i oczy jego z matczyną prawie czułością popatrzyły na nią.

— „Nic.... nic to mój ojcze!“ odpowiedziała opamiętując się „ta burza mnie przeraziła.“

— „Dziecię moje, ty się boisz burzy? nie jestto najstraszniejsza burza, moja biedna Marijko!“

I popatrzył na nią uważniej! dziewczyna drzała okropnie; starcowi łzy się cisnęły do ócz.

— „Uspokój się dziecię moje, i o lepszej pomyśl przeszłości. Gdyś ty drzała przed burzą, jam tu odebrał pociechę dla ciebie.“

— „Pociechę dla mnie?“

— „Kazimirz już wraca do nas; na mój list ostatni, w którym mu biedna Marijko, opisałem twoje cierpienia moralne, odpisuje mi krótko mówiąc, że najlepszą będzie odpowiedzią najrychlejszy powrót do ojczyzny i do ciebie, za któremi mu tęskno i bez których ani żyć, ani być szczęśliwy nie może.“

— „Kazimirz! mój kochany Kazimirz!....“ zawołała dziewczyna łkając. I chciała się biedna wypłakać i nie mogła; kilka łez gorących upadło na jej lica, ale nie zdołały wyczerpać wielkiej boleści gryzącej jej łono.

— „Ty kochasz Kazimirza!.... Marijko! ty możesz być jeszcze szczęśliwa!....“

— „Nigdy! nigdy!“

— „Do ciebie pisze te słowa:“ wyrzekł znowu starzec i przeczytał jej przypisek Kazimirza powolnie, jakby chciał jej każde słowo do myśli i do serca przelać.

„„Najdroższa Marijko! Może razem z listem przyjadę do ciebie, która jesteś jedyną myślą moją. Wracam do ojczyzny na skrzydłach niewymownej tęsknoty. Ciebie zaś zaklinam na miłość moją do ciebie, na wszystkie najdroższe nam pamiątki, na szczęście naszego drogiego dziadka i na nasze własne, abyś była cierpliwa do mego przyjazdu. Nie myśl o niczem, tylko o tem, że ja co godzina, co chwila zbliżam się do ciebie i przynoszę lekarstwo najlepsze na twoje rany, bo ci przynoszę moją miłość szczerą i nauki mego doświadczenia, które mnie przekonało, że na cię i na mnie czeka jeszcze cel piękniejszy, nietylko własnego szczęścia, ale i szczęścia drugich. Czy słyszysz Marijko! Ty zrozumiesz to najlepiej twojem dobrem sercem, że zemsta na drugich, gdyby najłatwiejsza i najsprawiedliwsza, ustąpić powinna przed możnością uszczęśliwienia bliźnich. Ja ci Marijko, narzeczono droga,

ofiaruję zamiast zemsty na kilku osobach, szczęście tych wszystkich prawie, za których się mścić chciałem. Marijko! błagam cię o kilka chwil cierpliwości; ja ci je nagrodzę całem życiem mojem!““

— „Ten list przywiózł mi w twojej nieobecności stary Jędrzej pani Bilczyńskiej, i pospieszył nazad, bo się spodziewał zastać już panicza swego w domu.“

Marijkę dławiła rospacz; ona długo słowa wyrzec nie mogła, nareszcie ostatnie prawie robiąc natężenie, zakrzyknęła zmienionym głosem:

— „Za poźno!.... za poźno!“

— „Za poźno?“ krzyknął starzec przeraźliwie i chciał się zerwać z krzesła swego.

— „Nic to, nic mój ojcze drogi!“ odpowiedziała Marijka przestraszona na widok trupiej bladości na twarzy starca, i klęknęła przed nim, i całowała go w kolana, w nogi.

— „Daruj mi ojcze! jam dziś pomieszana.... radość... smutek....“ i dalej całowała starca, bo jej to łatwiej przychodziło jak mówić.... bo chciała choć na chwil kilka wycałować spokój na twarz dziadka.

„Na chwil kilka!....“ tak jej mruczało sumienie. Biedna Marijka! ona przebyła teraz męczarnie karzące ją sprawiedliwie ale okropnie.

— „I będziesz cierpliwa!“ mówił starzec, głaszcząc ją po twarzy, głosem tak słodkim, tak czułym, jakby dziecka pochlebiającego.

— „Będę! będę!....“ odpowiedziała dusząc konwulsyjnie krzyki w sobie. Bo jej przyszło na myśl, że każda chwila co uchodzi, zbliża ją do tej strasznej katastrofy, którąby chciała nie dożyć, a którąby chętnie przeżyła, choćby w najokropniejszych męczarniach, byle stary i poczciwy dziad nie dowiedział się, że jego wnuczka jest podpalaczką.

„Za poźno!“ szumiało jej w głowie.

„Podpalaczka!“ szydziło jej w uszy.

A starzec oczy spuścił ku niej i pieścił ją dłonią, spojrzeniem, on ją pieścił sercem całem. I poruszył powoli ustami; on się modlił za nią, on ją błogosławił.... I pomału zmęczone starca zawarły się powieki.

Okropna myśl przeleciała łyskawicą przez serce Marijki. Gdyby biedny starzec w tej chwili skonał, nie doczekałby strasznego jutro obudzenia; skonałby przynajmniej spokojnie i nie przekląłby jej.... Aż zadrżała na tę myśl. Więc do tego z nią przyszło, że życzyła prawie śmierci temu, który ją nad własne życie i szczęście kochał, któremu ona ukróciła życie.... I przestraszyła się. Może tę jej myśl grzeszną wysłuchało niebo, może dziadek już nie żyje. I patrzała na niego z uwagą, słuchała z natężeniem.

(Dokończenie nastąpi.)

Z rękopismów zmarłego Walentego Chłędowskiego.

MOJA GWIAZDA.

Usnęły kwiaty, dzień za góry znika,
Rumieńcem zorzy płonie niebo w dali;
Ja idę tęskny wzdłuż brzegu strumyka
I patrzę w połysk ciemnej jego fali.

W błyszczące nurtu rameczki ujęty,
Drzy luby obraz śród modrej głębiny;
Wabi ku sobie czarem swej ponęty,
Jakby mnie wołał do innej krainy.

Ach! jestto obraz złotej gwiazdy mojej,
Dziwnym urokiem śród toni połyska;
Lecz gwiazda sama, wiecznie zdala stoi,
Jej obraz tylko uśmiecha się zbliska.

O gdyby kwiatów wyziewy wonnemi,
Lub na srebrzystym promieniu księżyca,
Skrzydłami Elfów podlecić od ziemi,
Wznieść się zkąd ona tak jasno przyświeca!

Próżne marzenie, tak chciał los mój srogi,
Bym szedł samotnie za strumyka biegiem;
O gwiazdo moja, śród tej ciemnej drogi
Świeć mi choć zdala nim stanę noclegiem!

W imienniku Marii M.

Ach, że też to z woli nieba
Tyle w życiu znosić trzeba,
Tyle smutków, strat, —
Gdybyto po naszej woli,
Ni cierpienia, ni niedoli
Nie miałby ten świat.

Naszą pociechą jedyną,
Że nadzieja medycyną
A doktorem czas, —
O! ten doktor robi cuda,
Zwykle mu się też i uda
I wyleczy nas.

Lecz jeżeli, wielki Boże!
I ten doktor nie pomoże,
Gdzież lekarstwo nam? —
Jedno, jedno tam wysoko
Wznieść ku gwiazdom łzawe oko,
Tam za groby, tam!

Wspomnienie pośmiertne.

Dnia 2. marca umarł we Lwowie Michał Jackowski, mistrz na flecie. Niewiele mamy wiadomości z jego

żywota, lecz co wiemy, podajemy czytelnikom dla zasłużonej pamięci zmarłego: Narodził się około roku 1795 na Wołyniu. Dzieckiem pokochał flet, chłopcem zasiadał już w orkiestrze przy teatrze w Brodach, jako doskonały fletnik. Nie miał żadnego nauczyciela, żadnej szkoły, co umiał sam sobie był winien. Przy małej pomocy, byłby sobie łatwo zjednał sławę europejską, lecz nie miał środków do wyższego kształcenia się za granicą.

Jackowski doskonaląc się coraz więcej, przeniósł się za naleganiem przyjaciół do Lwowa w roku 1818, gdzie grywał w orkiestrze starego teatru; za otwarciem nowego opuścił orkiestrę, trudnił się tylko uczeniem muzyki. Był tak skromny, że mimo częstych oklasków publiczności zachwycanej grą jego w teatrze, mimo pochwał znawców, nie chciał uwierzyć w piękność gry swojej i z wielką trudnością dał się przyjaciołom namówić, że wystąpił w kilku koncertach we Lwowie, w Peszcie i Wiedniu wszędzie pomyślnie i z pochwałami jego talentu. Gra jego była pełna czucia, odwagi i zręczności. Karol Lipiński objechawszy już całą Europę, gdy go usłyszał rzekł: „Wielu słyszałem już grających na flecie, lecz lepiej od Jackowskiego nikogo.“ Miał talent, pracował ustawicznie, był pełen uczciwości, a jednak żył w niedostatku. Dla cnót swoich i talentu powszechnie lubiony, zostawił po sobie głęboki żal w sercach znajomych, którzy ku uczczeniu jego pamiątki zgromadzili się licznie na żałobnem nabożeństwie w katedralnym kościele dnia 10. marca. Odegrano doskonale żałobną mszę przez jenialnego Kozłowskiego przy końcu przeszłego wieku napisaną.

S. C.

Drugi list Leniuchowskiego.

Tuto e vero verissimo
Pedrona mio carissimo!

Uściskać cię powinienem serdecznie, szanowna redakcyo, za twoje dwa przypiski w nrze 10., za pierwszy od siebie samego: że nie czekając rozruszania się Leniuchowskich, zaraz przy liście powiedziałaś wielmożnemu jegomość p.... z bocheńskiego co sprawiedliwość i zamiłowanie bezstronnej prawdy nakazywało; — za drugi ściskam cię (na przekorę Mościwemu Sejmikiewiczowi, który jak nieodrodny szlachcic odmówił mi swojem Veto autoryzacyi *) licznego obywatelskiego Leniuchowskich grona) za kraj cały, któremu tak piękną rokujesz przyszłość — nakoniec *omne trinum perfectum* ściskam cię i za samego p. P... na dowód, że się nie gniewa za wykazaną różnicę w datach statystycznych.

Szanowna redakcyo! racz zapewnić p. P.... z bocheńskiego, że ani zysk pieniężny, ani stosunki przyjaźni, pokrewieństwa, sąsiedztwa, klienteli lub tp. nie łączą mnie z tobą, że mego prawdziwego nie wiesz nazwiska i że frankując moje listy, pocztą pisałem ci zkąd mi fantazya przyjdzie te uściski, z prośbą o umieszczenie tego listu w twem pismie, powodowany jedynie tem współczuciem, jakie w nas obudza zamiłowanie prawdy. Nie wymieniam obwodu z którego piszę, bo jestem zaciętym wrogiem wszelkich podziałów i podziałków.... przechwalek godnych Krähwinklu, po naszemu Pacanowa, i mniemań, żeśmy lepsi w naszym obwódku od sąsiadów w innym, kiedy tymczasem dopóki czyny i daty statystyczne za nami nie poświadczą będziemy zawsze należeli do grona Leniuchowskich Niedołęgów, chociażbyśmy znaleźli w swoim obwodzie obrońcę przed krajem i zagranicą, chociażby ten autoryzowany pełnomocnik zbiorowych rozumów naszych napisał pięknie i o użyciu czasu, i o kupowaniu książek, i o pismach periodycznych, i o dziejach itd. słowem i o Adamie, i o Ewie, i o jabłku i o drzewie — o niebieskich migdałach i o wszystkiem, a co w tem ostatniem tośmy zuchy.

Znałem pewnego w podeszłym wieku szlachcica, używającego szczególnego lecz bardzo skutecznego środka do utrzymania w logicznym porządku rozprawy jednego z swych krewnych, który miał zwyczaj odbiegania od materij lub podsuwania zupełnie odrębnych dążeń. Oto kładł na stole bizun i zapowiadał, że za każdem zboczeniem skroi go po plecach. — Plecy pozostawały nietknięte — ale żartobliwa pogróżka osiągała zwykle pożądaną loiczność. Taki bizun moralny zdałby się na tych panów, co czytając nie chcą rozumieć dążności tego co czytali, wynajdują obrazę ogółu, o której się nikomu nie śniło, lub wyrywają się z obronami, jak ów osławionej pamięci Filip z konopi. — Tak to się codziennie u nas udowadnia, że niech kto cokolwiek z gorączki lub ze snu napisze, i na to odzywają się ugodzeni, urażeni.

Artykuł o niepisarzach w nrze 3. umieszczony, od którego zaczyna się szereg odpowiedzi drukowanych i niedrukowanych, odczytany z uwagą, zawiera tak świętą prawdę, że tylko ludzie złej wiary mogą być o nim innego zdania; przebiegnijmy i odpowiedzi. Pierwsza w nrze 6. podług zdrowego zdania redakcyi, nie rzuca anatema na wszystkich wsi mieszkańców, i owszem członek grona Leniuchowskich daje *verbum nobile*, że gotów jest dawnym obyczajem pod stołem odszczekać uroczyście, skoro tylko i owa zła m n i e j s z o ś ć zniknie. — Lecz chociaż przebiegł dopiero połowę zwykłego kresu życia ludzkiego, spodziewa się umrzeć w poźnej starości, nie dostawszy chrypki z odszczekiwania, i przekonany jest, że mu nie zabraknie przed-

---

*) Obacz list p. P.... z B. w nrze 10.

miotów zdjętych z życia grona Niedołęgów, kreśląc tylko prawdę, bez cienia potwarzy.

Co do solidarności w złem, któraby zrobiła niepodobną wszelką poprawę, niżej podpisany pewny jest, że takowa nie istnieje ani w bocheńskim ani w całym kraju, i że to tylko „uderzeniem w stół odzywają się nożyce.“ Szanownemu zaś panu P.... dajemy tę radę dla poparcia go w pięknym celu wykształcenia za lat 16 współpracowników i abonentek — aby nie ograniczał się na wymienionych licznych pismach, lecz aby zakupił rzeczywiście dobre gramatyki języka polskiego w licznych egzemplarzach, bo to mości dobrodzieju „umiejąc napisać ledwie list w interesie gospodarskim, lub w potrzebie do adwokata“ trzeba nam mości dobrodzieju zacząc *ab ovo*, od gramatyki.

Ogłaszasz s. r., że p. N. N. osnuł swą odpowiedź na list w nrze 8. na formie podpisu. W cożby się obróciły dowcipne zapewne dowcipy tych panów, gdyby kolega kwadrat był się inaczej podpisał, kiedy nic o rzeczy lecz o podpisie prawią; dążność zaś samego listu jest tak moralna, że odpowiedź na nią wprost, musiałaby wypaść niemoralnie, a za podsuwanie innej dążności, należałby się środek owego podeszłego szlachcica, skłaniający do trzymania się przedmiotu. Odpowiedzi Bogumila Prawdomownickiego wyglądamy z upragnieniem. Pan P.... tak pięknie maluje jak to w tamtym końcu kraju bawią się z godnością obywatelską, jak w koło wiadomości wchodzi wiele nowych rzeczy, myśli, wynalazków, jak ulatują na skrzydłach Morfeusza w krainy marzeń itd., że mu się należy odwdzięczyć odpisując co tu z drugiego końca kraju porabiają, u niego rzadkie, a w tym drugim końcu zbyt gęsto jeszcze osiadłe białe bruki wcale tu do osobliwości nie należące. Na ten raz dosyć, bo będąc już blisko Dniestru, wolę popłynąć z pszenicą do Odesy.

Bywaj mi zdrowa szanowna redakcyo! jak nie utonę zgłoszę się znów.

De Leniuchowski Niedołęga na Leżuchowicach.

Korespondencya.

Z Wołynia z listu Kraszewskiego: U nas na Wołyniu, po dosyć znacznym ruchu umysłowym lat teraźniejszych, nastąpiła właśnie chwila ostygnienia, znużenia, zwątpienia w piszących i czytelnikach. Większa część opuściła ręce i głowy. Sądzę jednak, że to symptomat tylko chwilowy, a po nim stalej na zajęcie publiczności, nie będące już fantazyą ale potrzebą — działać będzie można. Wielu z pisarzy naszych zamilkli całkiem, wielu zaledwie się odzywa z rzadka, a nowego nic się nie ukazuje, coby znakomity jaki talent rokować mogło. Ze znanych już tych stron pisarzy: Hr. Henryk Rzewuski w Tygodniku petersburskim ogłasza romans historyczny „Zamek krakowski.“ Pani Sztyrmer zawiesiła dalszy ciąg tamże drukowanych „Światła i Cieni.“ Zdaniem powszechnem jestto najsłabszy z jej utworów, a czytelnicy nasi dotąd w nim żadnego światła nie dostrzegli. Znany pisarz podpisujący się Kefaliński lub Żegota Kostrowiec, do Tygodnika całkowicie pisać poprzestał — stanowisko które ma zająć w hierarchii kościelnej, nie dozwoli mu nadal mieszać się do dziennikarskich prac i bojów. M. Grabowski z rzadka odzywa się w Tygodniku — oddzielnego zaś pisma żadnego nie wydaje. Z młodszych i nowszych na czele stoi autor Jordana, pseudonym A. Sowa, obiecujący wydać dalszy ciąg swego poemaciku i prozą „Szkielety.“ Autor „Trzech lilij“ i „Zamku w Czarnokozińcach“ (Szczygielski) wyjechał w podróż do ziemi świętej, a potem do południowej Europy. Dowcipny i pełen talentu Karol Drzewiecki, popłynął także do Egyptu, zkąd chyba na wiosnę przez Włochy do nas powróci. Listy jego z podróży ogłasza Ateneum. John of Dycalp po niepojętym upadku, którego dowodem są „Anegdoty i Fraszki“ zupełnie zamilkł i dobrze zrobił. Pismo zbiorowe wydane w Kijowie pod nazwą Gwiazda, wiele hałasu narobiło, wymierzone na pisarzów Tygod. petersb. popsuło sprawę swoję i skutek jakiego się spodziewać mogło po talencie A Gryffa, niesłychaną gwałtownością napaści, przechodzącej granicę, ktorę każdy szanować powinien. Pismo to wszakże całkiem polemice poświęcone, rozeszło się w wielkiej liczbie egzemplarzy i bardzo jest poszukiwane. Tom III. ma wyjść temi czasy. W Litwie Mikołaj Malinowski ciągnie dalej tłumaczenie kroniki Wapowskiego z uczonemi objaśnieniami surową oznaczonemi krytyką.“

Wydawca TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.